



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY  
Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50  
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. i sgr. 20.

### PORANKIEM.

(przekład z Wiktora Hugo;—Quatre Vents de l'Esprit).

Ponieważ niebo bramy różowe rozmyka,  
Ponieważ świt już brzegi widnokregu płoni,  
Podobny do czujnego tego służebnika,  
Co najpierwszy po domu chodzi z lampą w dłoni;  
Ponieważ wodę w zdroju srebrzy blask promienny,  
Firmament, przeglądając przez lasu głębiny,  
Błądą, spokojną lunę rzuca, a równiny  
Podnoszą na nią wzrok senny;  
Ponieważ już na górach stał się dzień: ja oto  
Idę; przez ciche pola wiedzie długa ścieżka...  
Lecz kędyż to znajduje się jutrzeńkę złotą,  
Dla ciemności tej nocy, co w głębiach nas mieszka?  
Czy życie—to przypadek? Człowiek, co tu gości,  
Cóż zobaczy tam, kędy dni jego go wiedą?  
Wszystko drży... Zaliż twój to głos jest, o przyrodę!  
Mówiący do mnie w ciemności?

M. I.

### NA BIALSKIM ZAMKU

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów Augusta III-go

przez

Józefa Ign. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Mrok już padł, tak gęsty, że z trudnością można było rozeznąć, przez na pół zamazane szyby okna, co się na przeciwnym końcu podwórza działo. Podłowczy siedział ciągle, na zakończenie historyi tej oczekując, gdy posłyszal w sionce tupanie, pies zaczął szczekać i w progu, wpadając żywo, pokazał się—ów handlarz z kramikiem.

Marcyjan porwał się ze stolka. Już miał go łajać i napaść nań, gdy zbliżywszy się z przerażeniem, po zdjęciu czapki, poznał w tym przebranym—Damazego.

Ręce mu opadły, usta zdrętwiały, słowa wyrzec nie mógł.

Do jego mieszkania, każdej chwili, ktoś z dworskich nadejść mógł: co tu było począć? Niedługo myśląc, Marcyjan pochwycił brata i drzwi drugiej, zimnej, izby otworzywszy, wepchnął go do niej co prędzej.

Serce mu biło, jak młotem.

Widział teraz wszystko, jak na dłoni. Szaleniec ten, przebrawszy się za handlarza z kramikiem, dostać się chciał do Faustysi. Sługa zdradzić mógł. Samej Faustyni pewnym nie był.

Damazy, pochwyciony, dostałby się do tych lochów strasznych, pod wieżą i zamkiem, których

nie widział nikt nigdy, oprócz kluczników, co ich strzegli; a to, co o nie opowiadano, najsmielszego przejmowało trwogą.

Szczęściem, Marcyjana nie opuściła przytomność umysłu. Drzwi mieszkania swojego natychmiast na klucz zamknął i wyjął go z zamku. Sam potem za bratem wpadł do zimnej izby.

— Szalony jesteś!—zawołał.—Życie ci nie miłe! Co się z tobą dzieje? Mówiąc to, drżał cały podłowczy, więcej z gniewu niż trwogi. Zaprawdę, i on wiedział dobrze, że się w kobiecie do szaleństwa rozmiłować było można; ale dla tej miłości głowę tak zuchwale ważył—nadaremnie—byle tylko zobaczyć kochankę—nie pojmował tego. Buchała z niego gniew i trwoga naprzemiany.

— Zmysły postradałeś—wołał—ja nie wiem jakim ty cudem wyszedłeś cało! Miłosierdzie Boże! Głupio, zuchwale ważyłeś życie. Szalona pałka, nierozumny człek!

Na wszystkie te wybuchy Damazy ani słowa nie odpowiadał; nie widać było po nim strachu, ani rozdrażnienia; spokojniejszym się zdawał, niż gdy z sobą rozmawiali o tem u Chai.

Dając się wyburzyć bratu, Damazy powoli odczepiał przyprowadzone pejsy i rozdziwiał się z o-dzieży. Króbkę swą postawił w kącie.

— Słuchaj—rzekł z flegmą—daj-no mi się w co przewdziać, będziesz potem łajał.

Podłowczy uspokoić się nie mógł.

— Przewdziać się!—zawołał—a co ja tu z tobą zrobię?

— Co?—jak mrok dobry padnie, weźmiemy się pod ręce i wyprowadzisz mnie z zamku.

— I ty myślisz, że ja ci pomagać będę do tego, co życie kosztować może?

— Ale, widzisz, mój kochany—odparł Damazy, że ja przecie bez pomocy twojej obchodzić się umiem. Co się stało i udało, o tem mówić niema co.

— Cóż ci się udało? co?—zakrzyknął Marcyjan.



— To, czegom pragnął—ciągle spokojnie mówił Damazy, który tymczasem, nie pytając o pozwolenie brata, z kółka zdjął starą kurtkę z lisami i wdziewał ją na siebie—chciałem się koniecznie widzieć z Faustysią. Wczoraj jej posłałem kartkę. Marcyan obie pięści podniósł do góry.

— Dała mi znać, o której godzinie matki nie będzie, a sługa śpi—mówił Damazy.—Moja rzecz była tak lub owak dostać się na zamek. No—i widzisz, *audaces juvat fortuna*: wśliznąłem się, widziałem ją, tę nieszczęśliwą ofiarę—i—tu, nagle, coś sobie przypomniałszy, Damazy urwał i zamilkł.

Brat stał przed nim osłupiały.

Nad wszystko zdumiewała go ta niepojęta zimna krew Damazego, to męztwo, dowodzące, że nie znał niebezpieczeństwa, na jakie się narażał. Pobyt w Lunewilu, w krajach, w których samowola taka nie panowała, jak w Rzeczypospolitej—musiał, zdaniem podłowczego, zatrzeć w Damazym pamięć tego, co tu było możliwem. Potrzeba więc było dobitniej jeszcze opowiedzieć mu wszystko, wyjawiać nawet to, czego się pocichu powtarzać obawiano. Damazy, zrzucając swą odzież i pokrywając ją swą króbką, zatarł ręce.

— Marcyan, daj mi kieliszek wódki—rzekł—w pierwszej izbie ogień rozpal. Już ci, choćby mnie kto u ciebie zastał, nie powiesz za to, ani mnie, ani ciebie.

To rzekłszy, wyparł go prawie gwałtem do pierwszej izby, a widząc, że Marcyan chodzi jak struty, sam ognia zaczął niecić i na kominie nakładać.

— Otwórz drzwi—rzekł Damazy, pamiętny na wszystko,—gdyby kto nadszedł i znalazł je zamknięte, a nas pod rygłem, miałby prawo posadzić, że coś złego knujemy.

Podłowczy wysłuchał w milczeniu.

Pierwsza trwoga i gniew przeszły; żal mu już teraz było brata nadewszystko; przemyślał, jak go od tej szalonej miłości i stawiania dla niej życia—odciągnąć.

Ogień zabłysnął na kominie; Marcyan dobył flaszki z wódką i nalał jej bratu, sam do niego nie przepijając, bo ani pić ni jeść nie miał ochoty. W ustach czuł gorycz żółci wzburzonej.

Drzwi od sieni pierwsze zamknawszy, aby otwieranie ich ostrzegło, gdyby kto nadchodził, podłowczy siadł przy bracie.

— Widzę z tego, coś dziś zrobił—rzekł zwracając się ku niemu—iż wszystko to, com ci mówił u Chai, o czem cię przestrzegałem, poszło w las. Alboś mnie nie rozumiał, albo mi nie wierzysz. Inaczej tedy z tobą rozmówić się potrzeba.

Damazy patrzył nań jasnymi oczyma; twarz jego wyrażała dziwny spokój a męztwo.

— Będę słuchał, co mi powiesz—odezwał się—ale, kochany Marcyanie, nie ja ciebie nie zrozumiałem, jak ty twierdzisz, ale ty—mnie. Co ty chcesz? Ja kocham dziewczynę nad życie! Dla niej opuściłem Lunewil, przywlokłem się tu—gotowem zginąć, a ją z tego piekła wyrwę!

— Szalony człowiecze!—krzyknął, unosząc się podłowczy, co ci dziś po niej? co? Cały świat wie, że jest chorążego kochanką, że ją matka niepocziwa sprzedała. Co ci po niej?

— A cóż ona temu winna, że ją Bóg matką taką pokarał?—zawołał Damazy. Dlatego, że jest nieszczęśliwą i najnieszczęśliwszą, ja—bym ją miał opuścić, porzucić, wyrzec się jej? Jakaż—by to była ta miłość moja? Widziałem się z nią, mówiłem, czuję lzy jej gorące na mojej twarzy i, Bóg świadkiem, nie porzucę biednej, choćbym szyję miał dać.

— To ją dasz! dasz!—krzyknął, porywając się podłowczy.—Miłość ci ta głupia oczy blachmanem zaciągnęła. Co ty sobie myślisz?—ty? nędzota, biedota, z dziesięcią twemi palcami będziesz walczył przeciwko ks. Radziwiłłowi?—tu, gdzie każdy krok i słowo szpiegują, gdzie tysiąc oczów patrzy?

Nieporuszony słuchał Damazy; tylko mu się wąsik z górną wargą wstrząsał czasem i ramiona drgały nieznanie.

— Bracie mój—rzekł, wysłuchawszy—ty nigdy nie kochałeś i nie wiesz, co miłość może.

— Rozum odebrać—rozśmiał się Marcyan.

— A ty myślisz, że rozumem tylko ludzie co ro-

bia?—odparł Damazy.—Robią więcej zuchwałstwem i szaleństwem.

— Oszalałeś wistocie.

— Mów zdrów—słowa nie odrzekę—odezwał się Damazy.—Miłuję ciebie jak brata, jak jedynego, bo nas dwu na świecie tylko jest, ale—przebac, Faustysiu nad wszystko.

Splunął podłowczy.

— Gadać z tobą próżno—począł po chwili,—odwodzić cię od tej imprezy niema już sposobu: a no, potrzeba, żebyś choć wiedział, z kim masz do czynienia.

Gdy ja się na dwór chorążego dostawał, mówili mi o srogości jego i nieubłaganem okrucieństwie; puszczałem to mimo uszów. Nie wierzyłem spełna. Tum się dopiero przekonał, że co ludzie mówią, nie starczy jeszcze. Mało powiadają: więcej jest.

Znasz historią Lotaryńczyka.

— Słyszałem już o niej w Lunewilu, bo i tam ona doszła—a no spełna, jak było, nie wiem—rzekł spokojnie Damazy.

— Niedalej niż cztery lata temu—począł podłowczy—był w służbie księcia ten Lotaryńczyk, szlachcic, officer odważny, człowiek dzielny, trochę tylko gorączka; bo tu niemal wszystkich miał za ba-i-bardzo, a lekko sobie cenił, nie wyjmując i księcia chorążego, z którego się często potroszę wysmiał. Języka nie umiał utrzymać, a gdy co na wątrobie miał, nie zmlewał.

Książę z początku go lubił, potem się za zuchwałstwo zniechęcił do niego. Jak tylko to we dworze postrzeżono, pochlebey, których pełno, jeśli szpiegować officera i coraz coś na niego donosić.

Byli tacy, co go zgubić chcieli; on o nic się nie zdawał dbać. Raz tedy przy kieliszku wyciągnęli go za język, że na chorążego wygadywać zaczął, że w nim buty więcej niż rozumu, i że gdyby Radziwiłłem się nie urodził, ledwie-by w piecu potrafił napalić.

Nazajutrz zaraz powtórzono to panu: wpadł w gniew wielki, i officera natychmiast, szpadę mu odjąwszy, na odwachu posadzić kazał. Między towarzyszymi miał Lotaryńczyk jednego szczególnie, Manswelda, z którym się wadził nieustannie; nienawidzili się, jak pies z kotem. Mansweld się zawczasu odgrażał, że gdy na niego kolej przyjdzie aresztanta pilnować, da mu się we znaki. Choć nierychło, Mansweld dostał wreszcie komendę na odwachu. Pierwszego zaraz dnia, gdy Lotaryńczyk sobie, za swój miły grosz, z miasteczka miodu kazał przynieść, Mansweld zabronił, aby mu go dawano.

Wzięła się ztąd zwada między nimi taka, że się do siebie omal nie porwali. Dano znać Szylingowi, pułkownikowi, na zamku mającemu zwierzchnią komendę, który nadbiegł zaraz, Lotaryńczyka uspokoił i napomniął, officerowi zganil jego surowość i—na tem się niby skończyło. Lecz ledwie Szyling do kwatery swojej powrócił, oni sobie znowu przycinać zaczęli, i, słowo od słowa, Lotaryńczyk aresztem i obejściem się z nim rozjuszony, krzyknął: że służba u księcia i komenda niepocziwa była.

Mansweldowi tego było potrzeba: świadków miał; komenda najwyższa była zawsze—nazywano się to tak—przy księciu chorążym. Doniesiono mu, że Lotaryńczyk jego niepocziwym przezywał.

Wpadł książę w passyą największą, tak, że przemówić nie mógł, a gdy usta otworzył, pierwsze słowo było:—Okuń szelmę i „krygsrecht“ na niego, głowę da!

Sąd wojenny się tak złożył, że w nim i nieprzyjacielem Lotaryńczyka zasiedli i zresztą tacy, którzy bronić go nie śmieli, wiedząc, że książę zawczasu na śmierć go dekretował. Do inkwizycji powołano aresztantów samych, a ci ze strachu to mówili, czem-by się zasłużyć, nie czem-by narazić się mogli.

Gdy przyszło wyrok ferować, według wojennego prawa, nie było sposobu, tylko na śmierć go sądzić, za porwanie się przeciw władzy zwierzchniej. Ale wszyscy pewni byli, że do spełnienia dekretu nit przyjdzie.

Tymczasem książę chorąży się zaciął. Strach ogarnął wszystkich otaczających, nawet tych, co

Lotaryńczyka nie lubili; kto żyw perswadował i prosił.

Ze dworu śmielsi starali się winę zmniejszyć, dowodząc, że napił się, że nie o księcia to mówił i do niego niepocziwości tej nie stosował.

Była podówczas w odwiedzinach w Białej, księżna krajczyzna Radziwiłłowa, która z namowy księżny chorążyny do nóg upadła księciu, błagając go za Lotaryńczykiem. Prosilili i inni—jednej żonie odezwać się nie było wolno, choć lzy się jej po twarzy toczyły. Wiesz dlaczego? oto w kontraktach ślubnym zastrzegł sobie, żeniąc się z nią, chorąży, że nigdy za nikim instancyonować nie będzie.

Wyrok śmierci tedy wisiał nad nieszczęśliwym, którego, w kajdanach okutego, w lochu trzymano.

Zażywano różnych sposobów, aby mu życie ocalić; a szczególniejsz Matulewicz, człek zręczny, z naprawy księżny chorążyny najrozmaitszych środków zażywał—nadaremnie.

Usiłował on wmówić w księcia, iż na nadchodzącą imieniny księżny Eleonory Czartoryskiej, kanclerzyny litewskiej, miłszego jej wiązania dać nie może nad życie człowieka.

Padano znowu do nóg i błagano go, a skończyło się na tem, że począł się gniewać i w passyą wpadł jeszcze większą.

Do późnej nocy trwały te sceny z nim, molestowania, próśby, które szczególniejsz księżna krajczyzna skutecznymi być sądziła. Chorąży, choć gniewny, poruszony był wistocie. Powróciwszy do sypialni, przechadzał się długo, wołać do siebie kazał zauszników swoich, a nazajutrz do dnia konie dla siebie, do Sławencinka, przygotować polecił.

O niczem więcej nie wiedział nikt. Tymczasem chorąży, od tych nalegań uszedłszy, wtedy gdy w Sławencinku odpoczywał, Lotaryńczyka ściąć rozkazał—a potem, najspokojniej w świecie, tegoż dnia na świętą Eleonorę do Wołczyna pojechał.

Skończywszy opowiadanie, podłowczy obrócił się ku bratu, który, słuchając, w ogień patrzył.

— A co?—zapytał.

— Nic—rzekł Damazy.—Wiedziałem ci wprzód, iż, w jego ręce się dostawszy, wydobyć się z nich albo nie łatwo lub nie podobna. Przecież, jakom przed chwilą postanowienie miał, z rąk mu tę niewinną wyrwać ofiarę, tak mnie wcale okrucieństwo jego nie odstrasza.

— Ze Lotaryńczyka za płoche słowo, niewinnie ale podług krygsrechu, ścięto—mówił dalej Marcyan, toć jeszcze tłómaczyć się daje....

Ale wiesz ty, co tu pod naszymi nogami, w tych podziemiach, do których nikt, oprócz kluczników, nie zagląda, dzieje się? ile tam więźniów po lat dwadzieścia gnije, światła nie oglądając, za to, że księciu się w najmniejszej rzeczy opierać śmieli, lub, że o nich doniesiono, iż przeciwko niemu śmiałem zgrzeszyli słowem?

Są tam tacy, którzy litość nawet w kątach obudzili, za którymi proszono, a ledwie sobie imiona ich książę mógł przypomnieć. Nikogo jeszcze wypuścić nie kazał.

Słyszę nieraz, iż na żonę swą marszczy się, że jej wesołą nie widzi, lecz zawsze niemal wylekła. Jakże ona inną ma być, gdy nieraz z zamku wyszedłszy na wały, słyszy dobywające się zpod ziemi jęki i narzekania; gdy wie, że po tych lochach stąpa, w których zapomniani męczennicy konają?!

Damazy dumiał, słuchając.

— A no—rzekł po chwili—przyjdzie i mnie się tam dostać: wola Boża! Dla wilka nie iść w las: nie męzka rzecz: dla strachu o życie, opuścić biedną niewiastę. Al! toby i żyć potem nie było warto.

— Lecz wyzwolić jej nie mozesz; kto wie, czy losu jej nie pogorszysz?—przerwał Marcyan.

— Gorszym on nie może być, niż jest—rzekł Damazy. Ona sama mówi, iż śmierć przekłada nad to życie, jakie prowadzić jest zmuszoną. Miły bracie, losu swego nie uniknie człowiek: co mi przeznaczonem było, nie minie mnie.

I zwróciwszy się do Marcyana, rękoma go objął za szyję, a lza mu w oku błysnęła.

— Cóż i jak poczynąć myślisz?—zapytał podłowczy. Damazy, trochę zdziwiony, ku niemu się zwrócił.



— Ty o tem nie powinienes wiedzieć, ani się mieszać do sprawy mojej—rzekł. Wolno mi dla niej życie stawiać, ale ciebie gubić i czynić spólnikiem tego, co ty szaleństwem zwiesz—nigdy w życiu!—ani pytaj, ani myśl o tem. Zostaw mnie resztę. Jedno ci tylko, jako bratu, mówię a zwierzę, iż odstraszyć się nie dam niczem; a co mi miłość moja dla niej każe, spełnię, choćbym krwią moją miał oblać, com zamierzył.

— Mnie to pociesza tylko — odezwał się Marcyan, że, bliżej poznawszy położenie, o niepodobieństwie się przekonasz. Jesteśmy tu jak w więzieniu, a nad Zaborskimi więcej oczów czuwa niż nad innemi.

— Z więzienia też ludzie uchodzą — przerwał uparty Damazy.

Widząc, że go ani przekonać, ani nawrócić w ten sposób nie potrafi, podłowczy przestał mówić. Szukał po głowie jakichś innych środków pohamowania go. Trwogą wziąć nie było sposobu człowieka namiętnością oślepionego. Na twarzy Damazego, który tylko niebezpieczeństwa wielkiego unikał, nie widać było najmniejszego śladu poruszenia. Zamyslał się, może o swej Faustysi, szukał jakiegoś nowego pomysłu do przekradnięcia się, a o bracie jakby już zapominał.

Marcyń przyglądał mu się napróżno, usiłując odgadnąć go i zrozumieć. Taka pogarda śmierci i męczarni, chłodna jakaś, niewymowna, cicha, była dla niego niepojęta.

— Gdzież się ty skrył przedemną, wyszedłszy od Chai? — zapytał po długim milczeniu Marcyń. — Nie zdradzę cię przecież: po co się taisz przedemną?

— Bo nie chcę ciebie wcale mieszać do mojej sprawy, abys wrazie jakiego nieszczęścia mógł czystem sumieniem poprzysiądz, że o niczem nie wiedziałes—odpowiedział Damazy.

— Tak — rozśmiał się podłowczy — a przecież dziś, jako przebrany handlarz z kramikiem, schroniłeś się do mnie.

— A no — inszego nie było sposobu — odezwał się Damazy—drugi raz przez tę szelmowską bramę przekradać się nie miałem ochoty, a tobie się przez to nic nie stało. Wybrałem chwilę, gdy w podwórzu żywej duszy nie było.

Ubiór swój zabiorę inną razą.

— Ani myślę, odparł brat — nie dam go, abys drugi raz głupstwa nie zrobił.

— Jakbym ja nie mógł sobie dostać ubrania i krótki, gdy mi będzie potrzeba! — rzekł Damazy, ręką machając.

Podłowczy nie wiedział już co poczynić z bratem. Wstał, poprawiając na kominie.

— Słuchaj, Damazy—odezwał się — mów otwarcie: czy ci wstocie świta w głowie, że ty ją ztąd mozesz wykraść?

Chwilę namyslał się zagadnięty a potem, wąsa kręcąc—zawołał butno:

— Wykradnę ją!

— Wiem, że z tobą rozumnie gadać nie można—odparł Marcyń—to jest poprostu waryacya; bo gdybyś nawet porwał ją mógł, to cię pogoń ułapi niechybnie, przyprowadzą na zamek i jako raptora, który dziewczynę gwałtem pochwycił—zetną.

— Jeżeli pochwycą, niech ścinają — zawołał Damazy, oczy moje przynajmniej patrzeć nie będą na tę zgrozę bezkarną. Nie myśl jednak, żebym ja całkiem szalonym był. Gdy porwać będę mógł, obmyślę, gdzie się z nią skryć od pogoni i jaką drogą uciekać.

— Pod ziemię się przed nim nie skryjesz—rzekł Marcyń.

Damazy szydersko się zaśmiał.

— Eh! eh!

Podłowczy coraz się bardziej rozgorączkował.

— A! niech cię kaci porwą z tą twoją nierozumną miłością! — a i jej niedobrze życzę, że dopuszcza, abys dla niej kark kręcił — rzekł gorąco Marcyń — ale, słuchaj—że, człowiecze bezgłowy. Wiem, że cię nie odciągnę i nie przekonam: na jedno tylko mi daj słowo.

— Na co? — zapytał chłodno Damazy.

— Że głupstwa tego nie zrobisz, póki książę jest w Białej,—ciszej szepnął podłowczy. Wiem z pewnością, że się wybiera do Zawieprzyc we swaty, a ma też do Warszawy, do króla jechać,

czy na ten nieszczęsny sejm, który regularnie zwołują i zrywają. Przynajmniej gdy jego tu nie będzie a Szyling sam zostanie na zamku, nie tak się może gorąco wezmą do ścigania—i....

Podłowczy nie dokończył. Brat słuchał go z wielką i wyteżoną uwagą.

— Może i masz słuszość — odparł, i może ja posłucham ciebie na ten raz, ale, jeżeli się wyjazd przewlecze, za nic nie ręczę. Wleź ty w moją skórę i pomyśl tylko sobie, jak to miło wiedzieć, że to niewinne ptaszę w jego szponach się męczy.

— Będąc w twojej skórze, ani-bym się kusił już o wyrwanie ptaszka—rzekł Damazy, a, chcesz-li go koniecznie mieć—rozum dyktuje obmyślić, aby ci go powtórnie nie odebrano.

Zamilkł nieco podłowczy i mówił dalej:

— No—przypuściwszy, że się cudem powiodło to, co, według mnie, nie może się udać, dalej co? Uciekliście we dwoje? dokąd? ani domu, ani łomu, ani schronienia, ani pleców.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## GNIAZDO HETMAŃSKIE

### STUDYUM OBYCZAJOWE Z XVII WIEKU

przez

Maryana Dubieckiego.

(Dalszy ciąg).

Przechowywały się nazwiska tych dworzan wojewodzińskich, którzy się szczególną ufnością wojewody cieszyli. Byli nimi: Marcin Kampanowski i Krzysztof Łącki. Po informacy bliższe, ustne, do nich odsyła wojewoda. Oni posiadali klucze od skarbcia domowego, gdzie się znajdowały przywileje i inne, cenniejsze papiery. Dworzanin Kałiński najbardziej był świadom wszelkich papierów prawnych i obeznany ze sprawami, tudzież interesami prawnej natury.

Chociaż sług i dworzan liczny był tłum, a niektórzy nawet „powinnymi“ byli, t. j. krewnymi, rodziny „Koniecpolskich“, wszakże wśród nich Łącki z Kampanowskim największem cieszyli się zachowaniem. Umierający wojewoda prosił ich o pilne baczenie na wojewodzinę, dla której mieli być radą, pomocą, niezaniebując przytem i młodych wojewodzców; na nich bowiem oko mieć im poleca. Ta spójnia serdeczna, spójnia na miłości i wzajemnym szacunku oparta, łącząca całą wojewodzińską rodzinę ze sługami i domownikami, ma w sobie coś dziwnie rzetelnego. Hojnie obdarcza wojewoda, niedosć wyższą hierarchią swych sług, ale i o niższej nie zapomina. Dary dla tych niższych stopni domowników składały się nawet z najcenniejszych upominków, bo z młodych koni, które były w stadach podolskich, tworząc jeden z przedniejszych czynników ówczesnego gospodarstwa. „Na te służki moje — pisze wojewoda — mieć respekt...“ Wszędzie prześwieca ten szacunek pracy ludzkiej, ta myśl, żeby ktoś nie ucierpiał z powodu mających zająć zmian stosunków majątkowych w rodzinie wojewody po jego zgonie.

I rzeczywiście zmiany gotowały się wielkie. Śmierć wojewody spowodowała zupełne zwinięcie dworu, znaczne zmniejszenie ilości sług, ograniczenie wydatków. Wojewodzina wdowi żywot wieść odtąd miała, co jednoznacznie było z zupełnem usunięciem się od świata, z wyrzeczeniem się jego przyjemności, a zatem zmniejszyć można było wydatki i prowadzić odtąd żywot prawie klasztorny, chociaż wśród społeczeństwa...

Takie odosobnienie się wdowy, płynące z ogólnego ówczesnego obyczaju, zmieniło, po spodziewanym zgonie wojewody, cały skład urządzenia domu i majątku. Dawny to nasz obyczaj, iż wdowa uważała dla siebie właściwym jedynie strój czarny; strój ten dodawał jej powagi i był dotykającym wyrazem moralnej zasady, istniejącej

w pojęciach narodu, wedle której żona tracąca męża, nie powinna była marzyć o nowych związkach; świat jej odtąd zamykał się w zakresie obowiązków dla pozostałych dzieci. Prawa krajowe nawet przestrzegały ścisłego spełniania tego obowiązku. Na półtora prawie wieku przed opowiadaną przez nas epoką król Kazimierz Jagiellończyk potwierdza uchwałę jednego ze zjazdów krajowych, orzekającą, że wdowy nie mają prawa noszenia innych szat oprócz czarnej barwy; zabrania się im również kosztownych pasów i ozdób około sukni, prawdopodobnie zdradzających chęć przypodobania się i pochłaniających temsamem mienie pozostałe po mężu, które jako nietykalna własność rodowa przejść powinno było do dzieci. Ta troskliwość o zabezpieczenie majątków rodowych tak pilnie przestrzegana była w praktyce życia, iż wdowa, uchylająca się od jej wykonania, jeżeli po napomnieniach jednego z przyjaciół, czy też krewnych męzkowskich, nie zaprzestawała życia wystawnego i hołdowania modzie, to na mocy ustaw krajowych podlegała utracie męzowskiego majątku.<sup>1)</sup>

Hołdowanie modzie po wsze czasy u nas jak i w innych krajach, wielkiem było, szczególnie u niewiast; każda wojenna potrzeba, bliższe zestosunkowanie się z obcemi narodami wprowadzało nowe mody. Wojna o niepodległość Dolnego Powiśla, trzynastcie lat tocząca się (1454—1466), była jednym z punktów zwrotnych w dziejach mody ówczesnej. Świetność strojów rozrosła i rozszerzyła się wtedy po całym kraju niezmiernie. Rycerz powracający z kupejących grodów Dolnego Powiśla przynosił do dalekich okolic rodzinnego zakątką nowe stroje niewieście, których widział wiele w miastach krzyżackich. Każde panowanie, każda epoka miała podostatkiem warunków do wytwarzania nowej mody, spotykała przykłady wprowadzające ją na nowe tory obyczaju w strojach.

Moralisci, a takich społeczeństwo nasze bardzo wielu posiadało, niezmiernie oburzają się na to hołdowanie modzie, na naśladownictwo w strojach, które coraz wybredniejszymi się stawały. Jeden z pisarzy współczesnych Zygmuntowi III, zastanawiając się nad zbytkami w strojach niewiast naszych, tak się wyraża: „Niedosyć mieć szatę po polsku, ale po niemiecku, po węgiersku, po hiszpańsku; także i inne stroje jako są: ciepłiki, oświki, tkanki, bramki, czepek morawskie staroświeckie, forboty perłowe i t. d.“<sup>2)</sup>

Pan Jan Chryzostom Pasek, owa najcenniejsza perła wśród pamiętnikarzy naszych XVII w., jakże dosadnemi barwy maluje tamtoczesną skłonność do tworzenia mód i stosowania się do nich całego ogółu naszego!

...„Bo u nas w Polsce taki zwyczaj, — pisze pan Pasek, że choć kto suknie na nice wywróci, to mówią, że to moda i potem ta moda ma wielką powagę u ludzi, póki nie przejdzie do prostych ludzi. Co ja już pamiętam odmiennej coraz mody, w sukniach, w czepekach, w butach, w szablach, w rządzikach i w każdym apparacie wojennym i domowym, nawet w czuprynach, w gestach, w stąpieniu i witaniu...“<sup>3)</sup>

„Jestto wielka lekkomyślność narodu naszego i wielkie ztąd pochodzi zubożenie...“ — dodaje pan Pasek. Inni pisarze wszystkich epok wtórują mu w tym względzie; wszyscy zgadzają się, iż zbytek panował po wsze czasy, iż po wsze czasy modzie hołdowano.

Zamiłowanie mody, ślepe jej kaprysom poddawanie się, zbytek przytem olbrzymi—wzrastały szybko: nic więc dziwnego, że niektóre wdowy, szczególnie młodsze i piękniejsze, starały się uchylć od narodowego zwyczaju, zalecającego im życie ciche, dalekie od większych wydatków, prawie klasztorne.

Wojewoda Sieradzki nie przewiduje, aby jego małżonka, niewiasta bardzo poważna, należała do rządu owych wyłamujących się z karbów prastarego obyczaju. Ale również nie widzimy, żeby

1) Bandtkie.

2) Bartłomiej Groicki: „O prawnictwie miejskiem“.

3) „Pamiętniki Jana Chryz. Paska“, Poznań, 1840 r., str. 53, 54.



ją zapytywał o rodzaj życia, jaki ma prowadzić w razie zostania wdową; wszystko owszem tak urządził, jakby ani na chwilę nawet nie przypuszczał, żeby w jego prastarem gnieździe mogło coś wyjść z karbów dawnego obyczaju.

Majątek cały oddano pod opiekę, złożoną z kilku głów. Widzimy tam, w gronie opiekunów, oprócz braci wojewody, oprócz kilku dworzan i domowników, widzimy pana Wojciecha Humnickiego, Stolnika Podolskiego, krewnego rodziny Koniecpolskich po wojewodzinie, która pochodziła z Podola i tam posiadała krewnych i stosunki. Koniecpolscy, rozszerzając w ten sposób zakres swych kolligacji, zdobywali w dalekich podolskich ziemiach wpływy, dla których ustalenia potrzebnym był pan Wojciech Humnicki, człowiek bardzo zestosunkowany na Podolu.

Już w owych latach nie zabulano o interessach „rodów“, które pod sztandarem pomysłowości, dobra, utrzymania znaczenia swego, skupiały około siebie, wiązały ścisłymi węzły solidarności wszystkich członków rodu. Karność w szeregach rodów wielką była: jeden stawał w obronie wszystkich, wszyscy osłaniali jednego. A niemniej i poświęcano wielokrotnie jednostki, by zabezpieczyć pomysłowość, wzrost domu, by ochronić go od zubożenia — nie mówię już od przejścia mienia w inne ręce, o czym i mowy być nie mogło — ale od rozdrobnienia fortuny, od upadku wpływu. Rody, czyli domy, zawierały z sobą sojusze, tworzyły koalicje, szukały sprzymierzeńców. Domy te zczasem wytworzyły siłę, która kierowała sprawami Rzpltej.

Koniecpolscy urządzić zamierzali dom swój na wzór owych rodów, co się na możnowładczą drabinę wspiwały. Skupienie mienia, przysparzanie, go było jednym ze szczególnych na owej drodze. Zachowując majątek oile możności dłużej niepodzielnym, w jednej dłoni, znosząc po zgonie głowy domu większe wydatki, które niezbędnymi za życia wojewody były, dokonywało się już wiele. A tak właśnie zalecał wojewodziński testament, i tak rzeczywiście uczyniono.

Powaga jedna, wódz rodu, naczelnik gniazda, zstępował do mogiły, lecz szeregi nie zostawały bez przewodnictwa. Przewództwo było odtąd zbiorowem.

Opieka naznaczona przez wojewodę piastowała godność tego wodza. Godnem jest zaznaczenia, że do składu przewodniczących w rodzinie, do grona wodzów całego możnego rodu, weszli słudzy domu Koniecpolskich, ludzie niezwiązani węzłami krwi z ich rodem, ale ściśle z nim zjednoczeni sercem i duchem, temsamem przeto wchodzili do zastępu powinowatych. Wojewoda ich kierunkowi ufa najzupełniej i, ze spokojem odchodząc do krainy cieniów, oprócz głównego testamentu, magistralnego wyrazu swej woli, składa w ich ręce nieocenionej wartości swe *monita* — uwagi — napomnienia, gdzie szczegółów drobnych sporo zgromadził. Za pomocą tych napomnień, niby za przewodnictwem nici Aryadny, odnaleźć możemy dużo wskazówek, które nam ułatwią zrozumienie owoczesnego gospodarstwa wiejskiego.

Gleba wojewodzińskich dóbr, w znacznej części położonych w Sieradzkim Wojew., urodzajnością nie słygnęła. Były tam jeszcze obszary wielkie lasów, które karczować należało, i na owych dopiero trzebieżach urządzić łany, zasiedlać, rozszerzać osady. „Roli conajwięcej przyczyniać...“ — pilnie zaleca stary Koniecpolski. Wioska nawet ta, gdzie wojewoda dogorywał, gdzie doń zbiegli się krewni i powinowaci domu, aby go pożegnać na wieki, nie była jeszcze dostatecznie zasiedloną. Leżała ona wtedy wśród lasów. Z małej osady ów Ruszczy — Ruszczyem w późniejszych aktach nazywany — przedzierzgnąć na miasteczko chciano, i w tym celu skupiano osadników. „Miasteczko tu, w Ruszczy, po kęsie (częściowo) niech się funduje, tam od pola i od plebanii“ — pisze wojewoda i dodaje swe życzenie, żeby domy stawały porządne, „ze szczytami lepieniami“. Znać, że przedewszystkiem budowano domy, później dopiero do owych siedzib osadnika poszukiwano. Wyraźnie wskazuje nam to wojewoda, do-

dając, że jeżeli będą porządnie zbudowane domy, to on tuszy, „że się będą kupili“ osadnicy. Rzemieślników grupowano razem, po dwóch niekiedy w jednym, podwójnym, domowstwie, domy ich wznosząc w jednej dzielnicy osady.

Na tej glebie mało urodzajnej, wobec znacznej ilości lasów, z których dopiero miano „roli conajwięcej przyczyniać“ rolnictwo było nie jedynym źródłem dochodu. Owszem, kwitnęły tam, lub też przynajmniej uprawiane były, inne, liczne, przemysły gałęzie. Rybołówstwo, bartnictwo, łowiectwo, uzupełniały to, czego dać nie mogła rola w Sieradzkim; stada zaś powiększały dochód majątności podolskiej.

Na rybołówstwo szczególne tam miano baczenie, utrzymując, zapewne z doświadczenia, iż stawy „trzykroć większy pożytek czynią, niż pole“. Zbyt ryb w bardziej szybki sposób odbywał się, niż sprzedaż rolnych produktów. Nie potrzebowało rybołówstwo tylu rąk do pracy, nie potrzebowało tak pracowitej uprawy i ulepszania.

Zakładał więc Alexander Koniecpolski nowe stawy, około dawnych zaś zalecał mieć „wielki dozór i pilność“, bo „ryby, jak się wyraża, kiedy się na pieniądze obracać będą, będzie gęsty grosz...“

Otóż ów „grosz gęsty“ skłaniał do szczególnego zajmowania się stawami. Połów ryb w onych latach bywał ułatwiany obyczajami niektórymi miejscowemi. Zdarzało się bowiem, iż jeden z klasztorów Cystersów, które pospolicie stawały wśród lasów nad brzegami jezior, bawił się wyłączenie rybołówstwem. Załatwiwszy tę czynność u siebie i w ościennych klasztorach, gotów był na zaproszenie jechać do posiadających stawy i jeziora bliższych i dalszych sąsiadów z niewodem, sieciami i wszelkimi rybackimi przyrządami. Jako nagrodę rybacki ów klasztor otrzymywał od właściciela wód połowę zdobytego połowu. Jeśli takie były ułatwienia co do połowu, oszczędzające wielce ilość rąk nieliczną wtedy, zamiana na „gęsty grosz“ złowionych ryb nader łatwą mienią się mogła bezzaprzeczenia. Liczne, ludne klasztory i u nas, i za ościenną sieradzką okolicą szlaską granicą, podostatkiem posiadały konsumentów, przytem liczna ludność żydowska, która własnych nie posiadała ani stawów, ani też jezior, spotrzebowywała wielką ilość ryb, a co do wyboru gatunków wybredną nie była; płaciła zaś gotówką, co właśnie i wytwarzało ów „gęsty grosz“, wspomniany przez starego a doświadczonego gospodarza, jakim był Wojewoda Sieradzki. Ścisłe przestrzegane posty w owej epoce, większa ich nawet ilość, niemniej znakomicie przyczyniały się do zwiększenia i ułatwienia zbytu ryb: niedziwną zatem jest rzeczą, iż podniesienie i rozwój tego przemysłu zajmowały wielce umysły zapobiegliwych ówczesnych gospodarzy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Olbracht Łaski, Wojewoda Sieradzki, wizerunek historyczny, na tle dziejów Polski XVI wieku, przez Alex. Kraushara; 2 tomy, Warszawa, u Gebethnera i Wolffa, 1881 r., in 12-mo.

Każdej uczciwej pracy na polu dziejopisarstwa, należy się uznanie i poparcie ze strony czytającego ogółu, z każdej bowiem, choćby wobec wymagań nauki niedoskonalej — a doskonałości jakże jest mało! — niezawodnie więcej skorzystać można, niż z tuzinkowych przekładów powieści i romanów obcych, lub oryginalnych „utworów“ sklepanych najczęściej przez ludzi, ani talentem, ani specjalnymi wiadomościami nie obdarzonych.

Do takich uczciwych, sumiennych i na uznanie zasługujących prac, należy monografia Olbrachta Łaskiego, Wojewody Sieradzkiego, jednego ze znaczniejszych możnowładców polskich w XVI w.

Olbracht syn Hieronima, urodził się w 1533 r. z Anny z Rytwian Kościeleckiej, w Kesmarskim

zameczysku na Spizu. W dziewiątym roku utracił ojca. Wychowywany przez matkę, doszedł do lat dziewiętnastu, kiedy śmierć wydarła mu i tę ostatnią opiekunkę. Pozostał więc sam spadkobiercą znacznego majątku po matce, na Węgrzech i w Polsce. Młody Olbracht miał chęć do nauki, a kształcąc się w historii i wojskowości, nie zaniedbywał również, pod przewodnictwem słynnego Szlázaka, A. Schroetera, studiować medycyny i alchemii. Nauka wszakże nie zabierała młodzieńcowi tyle czasu, aby się nie mógł obeznać z nowymi prądami religijnymi epoki odrodzenia i reformacji. Olbracht nie miał do nich wstrętu, gdyż wkrótce został kalwinem.

W 1558 r., a zatem w dwudziestym piątym roku życia, ożenił się z wdową bogatą, Katarzyną Seredą, odroślą dawnego domu Buczyńskich, biorąc w posagu przeszło sto tysięcy dukatów, a po dwuletnim z nią pożyciu, pojął za żonę pięćdziesięcioletnią Beatę z Kościeleckich Ostrogską, matkę słynnej Halszki. Ale widać, że nie z miłości zawierał te związki Olbracht, gdyż po nader krótkim pożyciu zamyka w więzieniu swą żonę, a sam żeni się za życia Beaty z Sabiną de Scheve, od której wyludził tytułem posagu czterdzieści tysięcy złotych i wiele kosztowności.

Jak życie domowe, tak i polityczne plany Łaskiego, żadnego sławy i zmierzającego do zajęcia wysokiego stanowiska w państwie, nie znamionują ani uczciwego człowieka, ani stałego w zasadach swoich polityka.

Dość tylko przypomnieć owe szalone popieranie kandydatury Jakóba Heraklidesa na hospodarstwo Mołdawskie, kiedy-to Olbracht zobowiązuje się własnym staraniem usunąć doówczasowego hospodara Alexandra, a na jego miejsce osadzić nowego swego sprzymierzeńca; lecz gdy spostrzeża swe powodzenie, zmienia nagle zamiar i sam już pragnie zostać władcą Multan.

Do tronu mołdawskiego zjawił się nowy pretendent, w osobie Dymitra Wisniowieckiego. Ale zamiary obydwóch spełzły: Dymitr wpadł w ręce Turków i zginął w Konstantynopolu na haku; a Łaski, straciwszy nadzieję zaspokojenia swych pragnień, porzucił owe strony i wrócił do Polski.

Olbracht był kalwinem; ale, jak nie wiele wagi przywiązywał do swych zasad politycznych, tak i nie trzymał się szczerze żadnego wyznania; wkrótce zamienił kalwinizm na katolicyzm i stał się nieodstępny prawie przyjacielem Hozyusza i Comendoniego. Daremnie dyssydenci czynią mu wyrzuty: Łaski zrzeka się nowinek religijnych dla swoich widoków świeckich i umie nawet tak dobrze się zalecić, że, porwany jego żarliwą wymową katolicką, Hozyusz, w listach do papieża błaga o błogosławieństwo dla odzyskanej szczęśliwie owieczki.

Przewrotność Łaskiego pozwalała mu jednocześnie ofiarowywać usługi swoje Tarnowskiemu i w sporze z nim dziedzicznemu Tarnów najeżdżać. Był to człowiek bez żadnych zasad, podobny do dzisiejszego bankiera lub spekulanta, który z każdego politycznego lub niepolitycznego wypadku pragnie gwałtem wycisnąć — brzęczącą gotówkę. Po śmierci króla Zygmunta Augusta, Olbracht staje po stronie cesarza Maksymiliana II, koresponduje z nim najczulej, ale trwa to tylko tak długo, dopóki Katarzyna Medycejska nie ujęła go hojnymi swemi datkami.

Odtąd Łaski staje się gorliwym sługą stronnictwa francuzkiego, co nie przeszkadzało mu równocześnie służyć dawnemu swemu sprzymierzeńcowi, a nawet swoją własną kandydaturę popierać.

Skoro jednak Henryk Walezy pozostał przy Koronie Polskiej, Łaski w gronie posłów dąży do Francji, gdzie jedynie za wpływem Hozyusza należało na króla, aby pokoju religijnego, uchwalonego podczas bezkrólewia, nie uznawał. Tu właśnie zabrał znajomość ze swoją trzecią żoną, p. Scheve.

Wskutek postawy swojej w bezkrólewiu po Henryku, pozbawiony Lanckorony i znacznych dochodów, Łaski w 1576 r. opuścił Polskę, a będąc poza jej granicami, podbudzał Gdańszczan do buntu, za co od cesarza Rudolfa otrzymał znaczne pieniądze i order. Znając Łaskiego z tej ujemnej strony, ościennie dwory, niejednokrotnie starały się o to narzędzie, aby za jego pomocą skutecznie pewne swoje plany.



Z tem wszystkim w sercu Olbrachta odzywało się niekiedy uczucie obywatelstwa. Nie dla osobistego interesu rozgromił on pod Oczakowem Tatarów, zaco go opiewano w wierszach i wprozie. Prawda, że z ambicji, ale zarazem i dla dobra ojczyzny układał się z Wenecją o wyprawę na Turka. Na Sejmie Lubelskim 1569 roku z niesłychaną zrećnością i biegłością polityczną przemawiał za unią i dowodził potrzeby praw, a raczej przepisów elekcyjnych, przyczem może chodziło mu o przypochlebiecie się królowi. A nawet sprawa z Iwanem Groźnym i wreszcie ukorzenie się przed Batorym, dają nam dowód, że Łaski nie był zupełnie już upadłym człowiekiem.

W 1583 roku, niewiadomo z jakiej pobudki i w jakim celu, opuszcza Olbracht Polskę i udaje się do Anglii, gdzie, jako książę Albert a Lasco, zyskuje względy królowej Elżbiety; witany podczas zwiedzania kraju z wielką świetnością podejmowany hucznie i prawdziwie po królewsku, przysłuchiwał się raz w Oxfordzie dysputom Giordana Brunona z miejscowym światem uczonych i osobisty brał udział w rozprawach dotyczących systematu Kopernika.

Ale cóż! straciwszy wszystko i zadłużywszy się bardzo, mniemany książę uszedł pokryjomu z Anglii.

Przy trzecim bezkrólewiu wszedł ponownie w stosunki z Zamojskim, starając się przeprowadzić swoją kandydaturę do korony, ale i tym razem usiłowania jego speliły na niczem. Widząc, że już na kandydaturze utrzymać się nie zdoła, zaczął popierać Zygmunta III, za co go później wynagrodzono starostwem.

Raz jeszcze podróżował do Szwecji, aby załatwić nieporozumienia Zygmunta z Karolem Sudermańskim, a potem, po długim, bałaśliwym i niespokojnem życiu, zmarł w 1605 roku.

Te rysy z życia Łaskiego, wyjęte z dzieła p. Kraushara, do scharakteryzowania człowieka w sposób jaknajogólniejszy wystarczyć muszą. Pomówimy teraz o samem dziele.

Pan Kraushar, pisząc monografią o Łaskim, podjął się pracy bardzo mozolnej, a niezadawalniając się drukowanymi źródłami, poszukiwał jeszcze po zagranicznych archiwach, przepelnionych naszymi materiałami historycznymi, nowych szczegółów, i temi uzupełnił swoją pracę. Jest to, jak na pierwszą obszerniejszą o Łaskim monografią, rzecz dobra, a patrząc na zebrany materiał, musimy istotnie przyznać rzetelną w gromadzeniu jego staranność.

Stawiamy tylko pytanie: czy autor nie przeceśnił czasem Łaskiego? Ambicusz ten miał wprawdzie bystre pojęcie, ale nie miał głębszego poglądu i zarówno zdolności jak i charakter jego stawiają go w dalszych szeregach tego świetnego tłumu działaczy publicznych, jakim się w ogóle szczycić ma prawo wiek XVI. Łaski przez swój polor cywilizacyjny bez rzeczywistej uprawy ducha, przez swoje pojęcia, szeroko rozlane, ale pozbawione głębokości, przez swoje dążenia wreszcie do wzbogacenia się i chciwość osobistą, jest poprzednikiem tych magnatów XVII i XVIII w., dla których prywatna była dogmatem, a ojczyzna służebnicą. Złe wychowanie, puszczenie się samopas wytknęły mu na życie całe drogę nieszczęsna, bo taką ostatecznie była droga Łaskiego na tej ziemi. Sama słaba, matka gruntownych moralnych podstaw synowi dać nie mogła, a rozpieszczony, ruchliwy bez cierpliwości i samolubny umysł syna nie pozwolił zdobyć ich sobie własnym bojowaniem w dniach młodości i pierwszych latach mężkich.

Pan Kraushar nie skorzystał jeszcze ze wszystkich źródeł ogłoszonych już drukiem. Do zabiegów Łaskiego tyjących się elekcyi po Zigmuncie Augustie jest bardzo cenny ustęp w rozprawce pana Wierzbowskiego, wydrukowanej w *Ateneum* z roku 1879 pod tytułem: *Zabiegi cesarza Maksymiliana II-go o koronę polską 1565 — 1576*. Tam pan Wierzbowski (na stronnicy 430 i 435) wyraźnie powiada, że w pierwszych dniach Stycznia 1573 roku za posadzenie na tronie Ernesta Łaski następujące postawił warunki: 1) otrzymanie orderu Złotego Runa; 2) wielkorządtwo Ziemi Wołoskiej; 3) Starostwo Spiskie; 4) pewna summa gotowizna; 5) zapłacenie długów jego, Łaskiego, przez przyszłego króla. Cesarz prawie

na wszystkie punkta odpowiedział przecząco i Łaski nie otrzymał nic, chociaż Stolz miał polecenie, aby układów nie zrywał. — Tego nie wyzyskał pan Kraushar, jak również i do monografii swej nie zużytkował materiałów zawartych w Listach Commendoniego pisanych do Karola Boromeusza. (*Pamiętniki o dawnej Polsce*, Niemcewicz). Oto, co pisze biskup Commendoni w Tomie I stron. 35, (w tłumaczeniu Józefa Krzeczakowskiego) w liście z dnia 21 Stycznia 1564 roku (z Warszawy): „W tej chwili dało się słyszeć od sługi pana Łaskiego, że w tych dniach Multani, trzymający w oblężeniu despotę w twierdzy Suczawie, umawiali się z żołnierzem węgierskim, które despota sprowadził był dla swojej straży, i skłonili ich nakoniec do wydania i despoty i twierdzy, przyskakując im, czego tylko żądali; lecz kiedy przyszło do wykonania umowy, nowoobranego wojewoda przez Multanów, rozkazał ściągnąć głowę despoty, a razem i wielkiej części Węgrów; Polakom zaś, Niemcom i kilku Włochom znajdującym się w tejże straży, poobcinano nosy i uszy. Pan Łaski, dowiedziawszy się o tej umowie, udał się był w 1500 ludzi, lecz już było po czasie, bo już wspomniany nowy wojewoda przeciwko niemu wysłał trzy tysiące ludzi, aby go rozgromić; lecz miał jeszcze zrećność cofnąć się i ocalić, nie utraciwszy tylko trzech, czy czterech ze swoich“.

Dalej następują wzmianki o Łaskim w tychże listach na stronnicy 58, gdzie Commendoni mówi: „D. 3 t. m. (Luty) dostrzeżono na polach Sylistryjskich ku granicom Podola, około 40,000 jazdy tatarskiej, a 3,000 tureckiej. Niewiadomo zaś o co się kusić zamierzają. Lękają się niektórzy, aby Turczyn z powodu, że pan Łaski Polak owaładzał twierdzę Chocimską w Wołoszech, król zaś nie przymusza go i nie karze, nie wpadł na Podole i na Wołyn, kędy mieszka wspomniany Łaski“.

Podobne wzmianki o Olbrachcie Łaskim znajdujemy na stronnicy 70, 80 i 123. Materiału tego nie zużytkował p. Kraushar.

W pracy p. Kraushara widać jeszcze brak wprawy w prowadzenie i zużytkowywanie badań oraz niedostatecznie wyrobiony zmysł krytyczny. Tak na str. 288, T. II autor pisze: „Był to jurgieltnik, — mówią jedni — grabieżca majątku piasierbicy, — mówią drudzy, — możnowładca uległy wpływom namiętnego ze szlachty antagonizmu, — mówią inni historycy. Wszystkie zarzuty mają za sobą obronę w faktach wykrytych przez historię. Silić się na zmoderowanie tych zarzutów byłoby przedsięwzięciem, i bezowocnem, i chybionem“.

Przecież zadaniem autora było: usprawiedliwić czynione zarzuty, dać ocenę ścisłą, krytyczną charakteru i działalności Olbrachta, odeprzeć oskarżenia, jeżeli były niesłuszne, lub poprzeć je dowodami; przecież nie w innym celu autor napisał monografię przedsięwziął.

Albo dalej, na stronnicy 290, czytamy: „Przedewszystkiem na szali zasług wojewody należy położyć miłość prawdziwą dla kraju, jaką okazywał zawsze, używając swego oręża w obronie zagrożonych jej praw i granic; tę miłość, która, pozwalając mu brać nagrody za popieranie kandydatur, na które kraj się godził, w nich zbawienie upatrywał, jednocześnie wszakże uzbrajała rękę jego prozaicznym kijem, tam gdzie inne kandydatury żywotnemu interesowi ojczyzny zagrażały...“

Na ten cały ustęp nie można się zgodzić z szanownym autorem. Jestto, doprawdy, osobnego gatunku miłość, aby być jurgieltnikiem dlatego, że się kraj kocha. Olbracht Łaski nie miał nawet pojęcia, nietylko o miłości kraju, ale nawet o miłości polspolitej, — miłości dla kobiety. Był on nawskroś pysznym i ledwie niekiedy mogła się w nim obudzić dusza ukołysana egoizmem i zarozumiałością. Ale, jak widzieliśmy, chwil takich mało było w życiu Łaskiego i niewiele one na szali zasług jego zaważyć mogą. Wprawdzie pisano mu panegiryki w tamtych czasach; komuż jednak wtedy panegiryków nie pisano? Nawet pocziwy Rey w swoim *Zwierzyńcu* odznaczył Olbrachta Łaskiego wierszykiem (list 70). Działo się to wszakże jeszcze wtedy, kiedy Olbracht był ledwie dwudziesto-dziewięcioletnim człowiekiem i prawie żadnych awanturniczych i nieczystych spraw się nie tykał.

Oto ten wierszyk:

Patrzaj na Olbrachta, na potomka jego (Hieronima),  
Jeśli niewiele kształtów tych znajdziesz u niego.  
Bowiem sobol sobola pospolicie rodzi,  
A szpetny lis z ogonem z nimi się nie zgodzi.

Takie panegiryki ostrożnie trzeba przebieierać, gdy się ma pisać rzecz naukową, gdyż nawet źródłom historycznym nie można wprost wierzyć; wypada je zawsze wpięć krytycznie przetrząsnąć.

Niewłaściwem wydaje się nam porównanie Olbrachta z Zamojskim. Nie przeczę — Zamojski pierwotnie mógł być człowiekiem także nie głębokich, prawdziwie politycznych, idei, ale w szkole Batorego człowiek ten wykształcił się i zmienił doniepoznaniam. Praca Zamojskiego, ucziwa i trwała, jak również głębsza myśl polityczna, odbiły się aż nadto w bezkrólewiu po Batorym. A Olbracht cóż zrobił? Czyż w którym bezkrólewiu znać jego polityczne dążności? Nie. To, co on robi, robi jedynie dla tego, aby jemu samemu dobrze było, aby sam skorzystał coś na tem, aby miał pieniądze i wydawał je, ale nigdy dla korzyści kraju. Tak przynajmniej ocenili jego działalność historycy zajmujący się więcej temi czasami: Malinowski w rozprawach p. t.: *Jakób Heraklides i Olbracht* (Teki wileńska z 1858 roku, tom III), jak również i pan Wierzbowski, wreszcie pan Zakrzewski.

Te i tym podobne uwagi nasuwają się przy czytaniu „Olbrachta Łaskiego“; nie stanowi to jednak, ażeby monografia p. Kraushara nie była rzeczą dobrą i na nżnanie zasługująca. Łatwiej jest, mając coś, uzupełniać dany już materiał i tworzyć z niego odpowiednie, daleko delikatniejsze i bardziej wykończone rzeczy, niżeli zaczynać prawie na nowo. A takie zadanie miał właśnie autor pracy, o której piszemy.

Ostatecznie, Olbracht Łaski, jakkolwiek nie jest człowiekiem wyższym, jakkolwiek nie odznacza się ani rycerskością, ani uczuciem, ani rozumem głębszym, politycznym, a z uczciwością rzadko kiedy w parze chodzi: to jednak samą ruchliwością swoją rzuca wiele światła na wiek, jego sprawy, pojęcia i dążenia — i dobrze też uczynił autor, że go obrał za przedmiot cennej swej pracy.

Wiktor Czajewski.

## NOWINY PARYZKIE.

Gazeta kobieca. — Ciekawe szczegóły o doktorkach. — Platon w *Akademii*, studjum p. Huit'a; treść tej ważnej książki. — Panna Lemière'a *Studjum o Celtach i Gallach*. — *Historia starożytna sztuki, albo artyści cudzoziemscy we Włoszech*, p. Bertolotti. — *Rodzina Malatestów z oryginalnych dokumentów archiwum sienieńskiego*, przez p. Iriarte. — *Egipt za czasów greckich i rzymskich*, p. Lumbroso. — *Oświata publiczna w Grecji od czasu zdobycia Konstantynopola*, przez p. Chastotis.

Paryż, 10 Stycznia 1882 r.

(Dokończenie).

Jednem z najżywszych pragnień Platona było to, żeby pamięć jego poza grobem nawet pozostała w dziełach i w sercach uczniów. Życzenie to spełnionem zostało. Po wszystkie czasy, aż do naszych czasów, dyalogi Platona czytano z zachwyceniem i uwielbieniem prawdziwym; i żadna szkoła filozoficzna w Starożytności nie rzuciła równego blasku i nie miała dłuższej trwałości nad Akademią. Ale „Fedon“ jest dowodem oczywistym, jak wielką i szczególną wagę przywiązywał Platon do wrażenia wywieranego wprost na duszę słuchacza. Otoż: czy otrzymał on, u swoich współziomków, i u współczesnych, zupełny wpływ i powodzenie do jakiego miał prawo? Zapewne, iż nie zostawił po sobie drugiego Platona; albo raczej ten drugi Platon tak różny od pierwszego, to jego współzawodnik, Arystoteles, którego wpływ i powaga, miały później przez długie wieki równoważyć, a nawet przewyższać znaczenie filozofii platońskiej.

Niemówiąc już o filozofach, których Platon ukształcił i przeniknął duchem swej nauki, liczy on jeszcze w liczbie swych uczniów: matematy



ków i mówców, poetów i polityków. Czy zawsze panowały w tej szkole Platona, miłość i zgoda? Każdy, ktokolwiek naucza, narażony jest na zarzuty i zaprzeczenia, a podobnie jak wszyscy ludzie genialni, Platon nie znośił obojętnie, a choćby tylko cierpliwie, opozycji, buntu przeciwko swej myśli. To też widzimy ostatnie czasy jego świetnego zawodu, zakłócone odszczepieństwem i smutnym odstępstwem uczniów; doszło nawet do tego stopnia, iż w pewnej chwili potrzeba było wdania się władzy administracyjnej, aby mistrz mógł spokojnie nauczać w swej szkole. Umierając, Platon przekazał kierunek wykładów synowcowi swojemu, Speuzippowi, a po nim następni naczelnicy Akademii zwykle wyznaczali do dyrekcji szkoły tego ze swych uczniów, w którym pokładali największe zaufanie.

Czy Platon miał, jak to utrzymuje wielu historyków, staro- i nowożytnych, dwojaką naukę: jedną tajemniczą i przeznaczoną jedynie dla małego kółka zaufanych uczniów, drugą publiczną i rozwiniętą w pismach? P. Huit odpowiada przecząco. I w rzeczy samej, pisma autentyczne syna Arystonowego nie podają nam żadnego tekstu Prawnej wartości, na którym możnaby oprzeć podobne zdanie; co zaś do sprzeczności, pewnej niejasności, jakie napotykamy w systemacie platońskim, to albo pochodzą one z fałszywie przyznawanych Platonowi dyalogów, które nie są wcale jego dziełami, jak na przykład: *Parmenides* i *Sofista*, albo się dadzą wytłumaczyć tym rodzajem niepewności, jakiej doznaje wszelki umysł ludzki wobec nieskończoności. Utrzymują niektórzy, iż dyalogi Platona pełne są allegorii i zmyślenia; ale rozważwszy je pilniej i przypatrzwszy się im zblizka, przekonamy się, że u niego ta część wykładu związana jest ściśle z całością nauki, tak, iż stanowi część nierozdzielną Platonizmu: nie jest to więc dodatek dowolny autora, w celu uspokojenia wyobraźni czytelnika. Z innej znowu strony Arystoteles w ustępie, gdzie streszcza i krytykuje główne zasady metafizyki platońskiej, odwołuje się do ustnej tradycji, zupełnie odmiennej, jak się zdaje, od tekstu zawartego w pismach mistrza. Czyż nie jest to czasem kwestya formy jedynie? Platon, wykluczwszy ze swych dyalogów rozprawy zbyt oderwane, subtelne, formuły zbyt naukowe, zachowywał dla swych uczniów głęboko wierzących w jego naukę, te objaśnienia i tłumaczenia, których nierzad udzielał prostym i luźnym słuchaczom. Czyż przypuszczenie takie nie jest prawdopodobnem i czyż w samym charakterze osobistości mistrza uzasadnić się nie da?

Jakież to są zresztą teorie, które Platon z namysłu pragnął pokryć milczeniem? Teodycea, etyka, urzędnictwa religijne i społeczne: wszystkiego tego dotknął w swoich dyalogach, dając poczuć wyraźnie swoim rodakom, jak mało sobie cenili ich zamięłowanie zbyt liczne w religijnych przesądach, w demagogii, w ochlokracji politycznej.

Dalekie od nas wieki marzyły o jakimś tajemniczym Platonie i tajemniczych systematach platońskiej filozofii. Poganie jak chrześcijanie zarówno żądni opierać się na słowach i na nauce wielkiego filozofa, przypisywali mu chętnie własne swoje nauki; a jeżeli brakło im czasem sposobnego ku temu tekstu, utrzymywali wówczas, że dane twierdzenie należy do zakresu tajemnej, tradycją ustną tylko przekazanej, nauki Platona...

Przed rozstaniem się z Akademią, której jest poświęcone całkiem to piękne i zajmujące studium, p. Huit zadaje sobie jeszcze ostatnie pytanie: Jakim sposobem ten wyraz, *Akademia*, używany w starożytności jedynie, do oznaczenia zwolenników nauki Platona, z wyłączeniem wszelkiej innej szkoły, służy dziś za powszechne miano towarzystwom literackim i uczonym, używającym wielkiego publicznego szacunku na jakimkolwiek bądź polu pracy, w jakiegokolwiek sferze działalności? Któremu to krajowi i której z mów ludzkich należy się zasługa wskrzeszenia tej nazwy, która zaginęła była zupełnie w długiej epoce średniowiecznych czasów? Starożytni, zdaje się, iż mało bardzo wazyli sobie tę nowożytną formę stowarzyszenia się literackiego ludzi, stowarzyszenia się samych prac i poszukiwań naukowych, prowa-

dzonych wspólnymi siłami wielu. Co do Starożytności, w świecie greckim i rzymskim bodaj czy znajdzie się inny przykład, oprócz Muzeum Aleksandryjskiego, tak szczerze uposażonego wspólnym zamięłowaniem w naukach Ptolomeuszów.

Na dworze Karola Wielkiego, wśród dwóch peryodów równie jałowych i bezowocnych dla nauk, widzimy pierwsze ukazanie się, jakby pierwszą zorzę odrodzenia, zorzę, po której jednak nie zaświecił bynajmniej jasny dzień spodziewanej oświaty. Jakkolwiek bądź, historycy wspominają z pochwałą o tak zwanej „Akademii Palatynskiej“, ufundowanej w samym pałacu cesarza; ale jest to wyrażenie zastosowane jedynie później do rzeczy, którą nazwać w ten sposób, ani-by przyszło do głowy żadnemu z uczonych owego czasu.

Abym widzieć tę nazwę wskrzeszoną, ukazującą się znowu w całym swym blasku, potrzeba było się doczekać emigracji greckiej z Carogrodu do Włoch, unoszącej z sobą rękopisma poetów i filozofów starożytnych. Platon, ukazujący się nagle, wśród epoki znużonej i znudzonej subtelnościami scholastyki, obudza rzeczywisty entuzjazm. Zbiegają się uczeni na dwór Medyceusów, czytają jego dzieła, rozbierają, tłumaczą i objaśniają jego naukę, i to zgromadzenie zwolenników Platona, przepełnione wspomnieniami przeszłości, nie waha się ani chwili, nadać samemu sobie te nazwy „Akademii“. Tytuł ten, który usprawiedliwiają wkrótce jej ważne prace, nauka i wielka wziętość członków, wchodzi w modę, i wszystkie towarzystwa uczone we Włoszech biorą go za swe honorowe godło.

We Francji, gdzie to miano ukazuje się po raz pierwszy w szesnastym wieku, służy ono do oznaczenia nietylko szkoły rysunku, ale fechtowania, ale nawet domów gry publicznej. Ronsard zbiera u siebie akademię do języka francuzkiego (*Académie pour la langue française*). Utworzenie *Akademii Francuzkiej*, jeden z pomysłów szczęśliwych, które przynoszą największą chlubę kardynałowi de Richelieu, jest naśladowaniem w kilka lat później założeniem trzech innych akademii, przeznaczonych do równie z tamtą świetnością i wchodzących dziś w skład *Instytutu Francuzkiego*. I na czele tych wszystkich uczonych zakładów, jasnieć będzie odtąd wyraz, który oznaczał niegdyś w Grecji najpierwszą i najświetniejszą szkołę filozofii: Akademią Platona.

Takiem jest w streszczeniu to znakomite studium, które dziś jeszcze znajduje się pod prassą, a jutro się ukaże na świat. Poważne i doskonale opracowane, jak najlepsza historia, czyta się ono z zajęciem, jak powieść. Wielu ludzi, mówi, rozprawia, a nawet pisze, o Platonie, ale mało jest takich, którzyby go czytali, u nas szczególnie, nie mówię w oryginale, bo tego chyba mogłaby dokazać jedna księżna Wittgensteinowa, z domu Iwanowska... ale choćby tylko w przekładach, których my coprawda mamy u siebie bardzo mało. Otoż p. Huit daje poznać w najprzystępniejszy sposób, nietylko mistrza, ale jego naukę i jego szkołę filozoficzną w całym następstwie wieków. Niema tu żadnego wymysłu i przypuszczenia. Wszystko jest oparte na faktach, a te, związane porządnie, zebrane i wypowiedziane treściwie, stanowią jeden z najpożyteczniejszych podręczników filozofii Platońskiej. Dobre tłumaczenie polskie wyświadczyłoby ważną u nas przysługę powszechności ludzi starających się oświecać.

Do rzędu dzieł pożytecznych i ważnych należy również studium p. Lemièr'a o Celtach i Galach (*Etude sur les Celtes et les Gaulois*). Jest to gruby tom in 8-o majori. Jeżeli wywody i konkluzje autora niezawsze zadawalniają czytelnika obeznanego z przedmiotem, to pod względem bibliograficznym książka ta posiada wyczerpującą dokładność. Wszystko, albo prawie wszystko, cokolwiek pisano w tym przedmiocie, autor miał pod ręką i z każdej rzeczy umiał skorzystać umiejętnie. Tego rodzaju monografie są wielkiej bardzo wartości dla pracujących historyków; łatwiej jest bowiem cytaty sprawdzić w oryginale, niżeli samemu poszukiwać tych ważnych ziarenek wśród ogromnej kupy częstokroć mało, albo nic nieznających faktów i rozwlekłych roztrząsań. Zresztą na wielu bardzo punktach można się zgodzić z są-

dami autora, który po większej części swoje konkluzje opiera na wiernie zrozumianych textach i na źródłach, pewnych i godnych wiary. Jest to więc piękna praca, i nie dziwiłbym się wcale, gdyby ją uwieńczono udzieleniem jej przez Akademię, premium tak zwanego Goberta, o które się dobija p. Lemièr, w tym właśnie celu do konkursu dzieło swoje złożył.

Jeszcze jedna książka: niezmiernie ciekawa, nie książka, ale raczej dzieło, bo w skład jego wejdzie kilka tomów. Wyszła we Włoszech *Historia sztuki nowożytnej*, p. Bertolotti. Każdy tom jest poświęcony artyście cudzoziemcom, którzy czas jakiś spędzili w Rzymie i dają krótką wiadomość o ich życiu i pracach wykonanych w czasie pobytu we Włoszech i później. Serya ta, rozpoczyna się od artystów rodem z Urbino, następny tom zawiera Lombardów, trzeci jest poświęcony Holendrom. Wiadomości czerpane z pewnych i urzędowych źródeł, mają przytem wielką zaietę, dostarczając wielu nowych, nieznanych szczegółów o artystach, którzy i sami mało są znani poza granicami swojej ojczyzny, a często i w ojczyźnie nawet. Dzieło Bertolottiego jest niewyczerpanym źródłem informacji. Należy się spodziewać, że przyjdzie i na nas kolej, a bardzo byłoby szczęśliwie, gdyby ktoś z naszych mieszkających we Włoszech, jak n. p. szanowny Teofil Lenartowicz, zwrócił na to uwagę autora.

Nie opuszczając Włoch, wspomnijmy tu o ciekawej publikacji, oryginalnych i ważnych dokumentów w Sienie, dotyczących rodziny Malatesta. Wiadomo jest że, w Średnich Wiekach i później kilku tego nazwiska Włochów odgrywało niepoślednią rolę w wojnach, które trapiły Włochy, podzielone na małe republiki i księstwa. Rodzina ta była czas jakiś panującą w Rimini, i jej nazwisko wiąże się z poetycznymi legendami tego ostatniego miasta. Ogłoszenie tych dokumentów należy się panu Iriarte, znanemu zkądinąd w literaturze francuzkiej.

Jeszcze jedna dobra i pożyteczna książka, która nam z Włoch przychodzi: *L'Egitto al tempo dei Greci e dei Romani* (Egipt za czasów greckich i rzymskich) P. G. Lombroso. Autor otrzymał już premium od akademii paryzkiej, des Inscriptions et belles Lettres, za swe dzieło o Ekonomii politycznej w Egipcie, za czasów panowania Lagidów. Książka, o której dziś mówię, zawiera dwadzieścia pięć krótkich rozdziałów; w nich autor dotyka rozmaitych przedmiotów, jakoto: Nil, Aleksandrya, Serapeum, zabawy i widowiska i t. d., każdy z tych rozdziałów stanowi doskonałą w swym rodzaju całość, a autor p. Lombroso, składa w niej dowody głębokiej znajomości źródeł starożytnych i praw dzisiejszej nauki.

Skończmy na Grecji dzisiejszej. P. Chastiotis, były komissarz rządu greckiego na wystawie paryzkiej 1878 roku, wydał książkę pod tytułem: *L'instruction publique chez les Grecs, depuis la prise de Constantinople jusqu'à nos jours*. Studium to obejmuje trochę więcej niż cztery wieki. Autor wylicza wszystkie zakłady tyczące się oświecenia publicznego w Grecji: szkoły początkowe, normalne, gimnazya, kollegia, domy sierot, domy przytułku i t. d.; wskazuje ich epoki założenia, ich cel wyłączny, środki użyte ku ich zaopatrzeniu, nazwiska fundatorów, następstwo nauczycieli, programmata nauk i t. d. i t. d. — nie pomija żadnego ważnego szczegółu.

W dodatku, w formie czterech tablic, podaje p. Chastiotis statystykę dokładną i szczegółową na rok szkolny 1878 — 79. Jest to doskonały podręcznik, pełen ciekawych i ważnych wiadomości o wychowaniu publicznem w Grecji.

## KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

Zapowiedziana na rok bieżący, a równie jak przeszła, staraniem Muzeum Przemysłowego urządzona, wystawa pracy kobiecej, przyjdzie niewątpliwie do skutku w miesiącu Czerwcu. Miejszem wystawy będzie pałac Brylowski.



Zacny kronikarz *Kuryera Warszawskiego*, Boleśław Pruss (p. Alexander Głowacki) w ostatniej Kronice Tygodniowej donosi o liście, odebranym wraz z kwotą 10 rs., a podpisanym przez kobiety, proszące go o sformułowanie w imieniu Warszawianek następnej propozycji: „Summę dziesięciu tysięcy rubli, niedostającą do kosztów pierwszej polskiej wyprawy naukowej (Szolc-Rogozinińskiego, puszczającego się do Afryki) złożyć Warszawianki, po rublu od osoby, za pośrednictwem Redakcyj pism”. Rogoziniński jest Polak, cała wyprawa złożona jest wyłącznie z Polaków i posiada już większą część potrzebnego kapitału, król belgijski daje jedynie okręt, zawieźć ją mający do brzegów Afryki. Pieniądze, których braknie, należy zebrać w kraju, bo inaczej wyprawa straci charakter czysto nasz, a upokarzającym jest brak żywiołu polskiego w nowoczesnym ruchu cywilizacyjnym i abyśmy nie wyglądali między innymi jak nędzarze, lub pasożyty, jako tacy, którzy korzystają z pracy, trudów, poświęceń innych, nie od siebie ludzkości w tym kierunku nie dając, należy nam ruch pod tym względem opieką otaczać i budzący się oto objaw jego popierać. Wprawdzie myśli i serca nasze, troski i zabiegi, zajęte są zawsze, najważniejszą sprawą domową — trzymając się gruntu miejscowego, niemniej i to jest obowiązek narodowy o godność swą dbać, z szeregu ludów cywilizowanych nie wychodzić, na tyłach ludzkości się nie wlec.

W Modliborzycach w Lubelskiem (pow. Janowski) otwartą została w końcu roku zeszłego, staraniem pań okolicznych, a głównie p. Adamowej Przenowskiej z Potoczku, gospoda chrześcijańska. Proboszcz miejscowy, ksiądz Siekierzyński, współdziałał zanie w tym dobrem dziele umoralnienia ludu wiejskiego.

Królowa Angielska przyjmuje dorocznie różne naukowe i dobroczynne deputacje w przeddzień Nowego Roku, w liczbie których znajduje się zwykle znaczna część deputacji kobiecych. I w tym roku rzecz się odbyła według zwyczaju, zaznaczyła się przecież pewna różnica w przemowie Królowej do deputacji kobiecych. Czytelnicy naszego pisma wiedzą o niezadowolaniu objawionem przez angielskie lekarki z powodu życzenia Królowej Wiktorii, aby kobiety nie zostały dopuszczone do międzynarodowego kongresu lekarzy, który zeszłego lata miał miejsce w Londynie. Kongres został wskutek tego dla kobiet lekarek zamkniętym i szmer niezadowolenia był w pewnych kołach dość głośnym, aby Królowa zapamiętała go i odpowiedziała nań w sposób bardzo szlachetny i rozumny, w takim mniej więcej sensie: — Kobieta może i powinna się uczyć, może i powinna brać odpowiedni udział w ruchu społecznym, w postępach cywilizacyjnych swego czasu i narodu, ale są granice, których naruszać jej niewolno, ze względu, już nie na nie samą — jednostkę — ale na ogół cały, który to psuje i i wykołaja z drogi obowiązków i przeznaczeń jego moralnych. Skromność, wstydlivość kobieca należy do tych nienaruszalnych powinności każdej kobiety uczciwej, a przecież łamię je ona często dla próżnego popisu ze swoich nowoczesnych nabytków nauki. Często sama treść rzeczy jest dobrą, jest pożyteczną, ma też za sobą całą myślącą większość ludzi, lecz szkodliwą się staje z chwilą, gdy ambicja, chcąc wykazać równość kobiety z mężczyzną, wywołuje usilne weiskanie się kobiety tam „gdzie mężczyzna bada, rozbiera i doświadcza”. Są organa, przez które kobieta dowie się najdokładniej o rezultacie tych badań, rozbiorów, i doświadczeń, które może sobie powtórzyć i wszystkie naukowe korzyści ztąd wynikające, otrzymać: dla czegoż więc pragnie osobistego udziału tam, z kąd jej natura kobieca wyłączać ją każe? Gdy mężczyzna żadnych już takich wyłączeń za potrzebne nie uznaje, przestanie albo kobietę szanować, albo cenić te jej cnoty, które są „kobiecością trześcią, podstawą i ozdobą”.

Królowa, mówiąc tu o nauce i jej zamiłowaniu obywatelskiem, oraz z miłości bliźniego powstającym pragnieniem użyteczności publicznej, wymówiła znaczący wyraz „prawda uczucia, pozór uczucia” i zwróciła się z kolei do pojęć, które powinny towarzyszyć kobiecie, oddanej uczynkom miłosierdzia i dobroczynności publicznej. Tu kobieta ograniczona jest przez obowiązki rodzinne, przez

powinności żony i matki. Nie znaczy to, aby zamężna i macierzyńska obowiązki mająca, już się do tych ogólnie ludzkich powinności poczuwać nie miała; ale osobisty jej udział w pracach filantropijnych musi być o wiele, o wiele mniejszym, czasu i zajęcia jej myśli niewyczerpującym.

Nikt nie może być naraz w dwóch miejscach, tak fizyczną jak moralną swą obecnością: otóż matka i żona powinna zdać na niezamężną lub bezdzietną czynne zajmowanie się sprawami miłosierdnymi. Ten, kto się dziełom miłości bliźniego, poza zakresem spraw w obrębie domowym spotykanych, pragnie poświęcić, niech innych obowiązków na siebie nie bierze, niech miłość ludzkości główną miłością serca swego uczyni. Gdy jest inaczej, rodzina i jej obowiązki, także wielkie, także święte, zaniedbywanymi być muszą. „Wiem to z doświadczenia — mówiła królowa — moje obowiązki publiczne, często stawały na przeszkodzie powinnościom macierzyńskim, które cierpiałam na tem tak, jak i ja sama cierpiałam”. Królowa zakończyła rzecz tem, że niejednokrotnie i w tym kierunku działać może próżność, ambicja, pozór serdecznego uczucia we własnych naszych oczach biorąca. Znakomity znawca serc ludzkich, pisarz, który żyć będzie na zawsze w literaturze angielskiej, wykazał to w rysach pełnych talentu.

Królowa powoływała się zapewne na „Bleakhouse” Dickensa (Pustkowie), gdzie pisarz smaga surowym biczem satyry, matkę, której córka osamotniona i nieprzygarnięta do serca matczynego, mogła się być zepsuć i młode życie w zaraniu jego zwichnąć, mąż pędzi życie smutne ludzi, niemających szczęścia u domowego ogniska, młodsze dzieci wśród nieładu domowego wiodą życie cyganińskie, mytych i ubieranych tylko do gości, a matka zajmuje się sprawami stowarzyszenia, działającego w sprawie cywilizowania Afryki. Królowa zapewne poruszyła rzecz, wskutek głośnej sprawy miss Mariam Chavasse, którą wykradł i poślubił aktor, mający drugą żonę w Australii. Matka, jak się pokazało z procesu, mająca prócz tej córki, czworo dzieci i potrzebująca zarabiać na ich utrzymanie piórem (powieściopisarka) była w chwili wyjścia córki z domu w Newgate, gdzie się zajmowała umoralnianiem kobiet uwięzionych. Należała przeto do stowarzyszeń Biblijnego i Wstrzemięźliwości.

Lekarze angielscy zaczynają przybierać sobie w pomoc siły kobiece, nie tylko do pilnowania chorych. Według zwyczaju angielskiego pewna część lekarzy jest zarazem aptekarzami i w laboratorjach swoich przygotowuje lekarstwa, przepisywane chorym: otóż wiemy z niedawno wyszłej w Londynie książki o pracy i zarobku kobiecym, że wielu z nich używa do tego zajęcia kobiet, z pensją roczną od 600 do 1,000 franków. Potrzebnych tu wiadomości farmacyjnych udziela kobietom w Londynie szkoła przy szpitalu kobiecym na Marylebone Road, gdzie za opłatą 100 franków uczenica przyjętą zostaje na sześciomiesięczny kurs farmacji. Wymaganą jest od niej pewna już znajomość łaciny i rachunków, aż do ułamków. Kształcenie się wyższe w farmacji może być także w szkole wspomnianej udzielane żądającej tego i zdarżając się wypadki, że po sześciomiesięcznym kursie, gdy niezamożna kobieta zapewni sobie utrzymanie przez preparowanie lekarstw przy którym z lekarzy, rozpoczyna naukę wyższą w zawodzie aptekarskim lub lekarskim. Te, które prócz praktycznych wiadomości z farmacji, umieją prowadzić książki handlowe, bardzo łatwo znajdują sobie korzystne zajęcia w domach zdrowia lub szpitalach.

Wspaniały przykład obowiązku obywatelskiego w sporze z osobistym uczuciem serca, dała lady Małgorzata Crawford, wdowa po hrabi (earl) Crawford i Balcarres, którego nazwisko stało się obecnie głośnem w całej Europie, z powodu wykradzenia zwłok jego z grobu rodzinnego w Dunrecht, w celu zyskania okupu. Earl zmarł we Włoszech, wdowa z głębokim uczuciem żalu przewiozła zwłoki do kraju; a że wielka jej miłość, wielkie przywiązanie do męża, było ogólnie znanem, złoczyńcy znać rachując na to, wykradli ciało z trumny, nie naruszając nawet antab srebrnych. Otóż lady Małgorzata w otwartym liście do syna, obecnego lorda Crawford, prosi go,

aby zniósł raczej to ciężkie dopuszczenie rodzinne, a nie otwierał drogi złego przykładu, przez uleganie zuchwałej zbrodni, jak to i ona sama myśli uczynić. Pisma angielskie nazywają postępki wdowy wysokim uczuciem obowiązku publicznego i zarazem aktem wielkiej odwagi moralnej, szlachetnego podniesienia się sercem do ofiary, na korzyść moralności publicznej swego kraju, chwalą go gorąco. *Times* pisząc o tem, zatytułował rzecz: „Private feeling und public duty”.

W Irlandyi *Liga kobieca*, działająca przez prezydentkę swą, miss Annę Parnell, stawiała opór moralny podpułkownikowi Hiller z brgady policyjnej, który zapowiedział w liście wystowanym do głównego (Dublińskiego) komitetu ligi, iż ją rozwiązuje. Ponieważ tylko akt parlamentu może uznać ligę kobiecą, rozpowszechnioną i w całej Anglii, za instytucją prawną przeciwną, zatem aż do chwili postanowienia parlamentu, które wydaniem i ogłoszeniem być może zaledwie w połowie miesiąca Lutego, liga ma istnienie prawne. List był pisany bez ortografii i w wyrażeniach swych gruby: zatem miss Parnell po otrzymaniu go, nie tylko uczyniła go publicznym, za pośrednictwem dzienników, ale, zwoławszy natychmiast posiedzenie Komitetu Dublińskiego, wypowiedziała, co było wyżej. Posiedzenie zredagowało też zaraz na miejscu odezwę w duchu odpowiednim i rozesłało do wszystkich podkomitetów prowincjonalnych, w liczbie 500. W następną Niedzielę kilkaset podkomitetów zebrało się na posiedzenia; w większej części konstablerya wstrzymała się od wystąpienia, były przecież miejscowości, w których postąpiono inaczej. W Ballyfernon, Dingle, Drumcollogher, w Kedue, w Ross, aresztowano i stawiono przed sądem szeryfów bardzo wiele kobiet. Wszystkie niemal należą do klas towarzystwa wyższych i zamożnych, żadna przecież nie chciała dać za siebie kaucji i wszystkie w więzieniu oczekują na wyrok sądu.

Paweł Bert, obecny minister oświecenia we Francji, nakazał sporządzenie listy osób, które poniosły zgon wśród prac i poszukiwań naukowych, oraz lekarzy i chirurgów, zmarłych z zaraży, jakiej udzielają przy operacji choroby zaraźliwej, jaknaprzykład dyfterytys, lub też tych, z których krew zakażoną została przy dyssekcji trupów, a to w celu udzielenia pensji ich wdowom i dzieciom małoletnim, lub dotkniętem przez kalcetwo, pracy niedopuszczające.

## DROBNE LISTKI.

Uskoki Jeża (Miłkowski) wyjdą wkrótce poangielsku, przerobione i pod zmienionym tytułem: *Annunziata Grimani*. Książkę, mającą obejmować dwa tomy, wydaje księgarnia londyńska „Kerby i Endean”. Kto przerobienia dokonał? — niewiadomo. „Ateneum londyńskie” mieści to między nowościami literackimi i dodaje tylko, że rzecz jest historyczna, z połowy i końca XVI wieku, a odnosi się do walk o niepodległość Bośni.

Wilian Harrison Ainsworth, bardzo popularny powieściopisarz angielski, umarł d. 3 Stycznia r. b. i zamknął śmiercią swoją historyczną szkołę Walter-Scotta, do której należał. Pierwszą swą książkę: „Sir John Chiverton” wydał w 1825 r., ostatnią w 1881 r. Wyszła ona w końcu Grudnia, więc niemal przedsamą śmiercią autora, i według prasy angielskiej jest to najdłuższy ze znanych zawodów piśmienniczych. Zmarły liczył, umierając, lat 77. Powieść „Roockwood”, wydana w 1834 r., miała ogromny rozgłos i ugruntowała wielką wtedy sławę Ainsworth’a; do końca przecież był to bardzo poczynny i bardzo obfity pisarz, a utwory jego poszukiwane w ostatnich czasach, głównie przez klasy średnie, tak po wsiach jak i w miastach, po fabrykach, oddawały społeczeństwu swemu tę ogromną przysługę, że żywiły umysłowo tłumy całe pokarmem czystym i uczciwym, niezatrutym. Niezmiernie dramatyczny, przemawiał do wyobraźni ludowej, przedstawiając jej malowniczo obrazy walk, starć krwawych i wiel-



kich przewrotów politycznych, wśród których wprowadzał chętnie na scenę postacie ludowe. Legendowa w Anglii postać zbójcy, Jack Sheppard, dała mu przedmiot do najpopularniejszej jego powieści, tak w Anglii czytanej, jak u nas niedługo *Rinaldo Rinaldini*. Krytyka, zbyt wyrachowana, czyniła mu z tego zarzut, że używa materiału drastycznego i jakoby ztąd niemoralnego, ale myliła się. Jack Sheppard nie jest prostym opryskiem i na podobieństwo Rob Roy'a miesza się w wielkie wypadki dziejowe, wśród których, stając po jednej stronie, działa. Ainsworth urodził się w Manchester, wśród tych rzesz fabrycznych, których smak i potrzeby umysłowe mógł też poznać i zrozumieć. Syn bogatego adwokata, przeznaczony przez ojca i wykształcony do zawodu prawniczego, porzucił go dla literatury. Pierwszy swój utwór poddał pod sąd Walter-Scotta, który go własnoręcznie poprawił.

Tauchnitz, lipski wydawca dzieł, głównie powieści angielskich, których kolekcya doszła z końcem ubiegłego roku liczby okrągłej 2,000 tomów, przesłał każdemu z autorów, udział w niej mających, tytułem podarku noworocznego, cały zbiór pięknie oprawny. Jest to chyba najwspanialsza gwiazdka, jaką kiedykolwiek zrobiła osoba prywatna.

Herodyada, nowa opera francuzkiego kompozytora, Juliusza Massenet, wystawiona w pierwszych dniach nowego roku, w Bruxelli, zyskała sobie świetne przyjęcie i wysokie uznanie krytyki, wedle której twórca *Króla Lahory* i *Maryi Magdaleny* doszedł przez ostatni utwór do apogeum talentu i towarzyszącej mu sławy. Dotychczas ulegający nieco wpływom wagneryzmu, tu już podniósł się do najzupełniejszej i bardzo szlachetnej oryginalności; Paryż czuje się też dotkniętym, że *Herodyada* nie na scenie paryskiej wyśpiewana została. Juliusz Massenet zalicza się do rzędu tych ludzi, o których mówili Grecy, że są karmieni przez Muzy. Przyniósł ze sobą na świat duszę artystyczną, która rwała się od lat dziecińczych za głosem natchnienia swego. W 1856 roku, czternastoletni, bardzo delikatny chłopiec, jedynie w bluzie wyrostka, wędrował wielkim gościńcem, wiódł z Chambéry do Lyonu. Nie było ani grosza w kieszeni dziecka, które żywiło się w drodze zapasami, jakie miało przy sobie, a które zostały cichaczem zabrane z rodzinnego domu w Chambéry. Nogi nabrzmiały od chodu, ręce były odarte ze skóry od czepiania się wtył za powozami i wozami, plecy wysmaganie biczami stangetów i furmanów, którzy, ulitowaliby się niezawodnie pieszego a zmęczonego podróżnika w innym wieku, ale takiego wyrostka nazywali włóczęgą i grozili mu oddaniem w ręce policji poprawczej. Chłopiec zaczął też lękać się ludzi, przesyłając się pod gołym niebem, nie wracając przecież poza siebie, siedł tak trzy dni i trzy noce, śpiąc do Lyonu, gdzie jednak miało być jedynie miejsce wytchnienia i odpoczynku chwilowego, bo celem podróży był Paryż—Paryż i konserwatorium muzyczne, gdzie chłopiec — Juliusz Massenet, pragnął się uczyć muzyki.

W Lyonie miał wuja, od którego spodziewał się pomocy; nie wiedział gdzie wuj ten mieszka, ale postanowił sobie wyszukać go, stanawszy na miejscu. Wszedł do miasta o czwartej godzinie rano, drżąc od nocnego chłodu, lecz o tej chwili czasu nie mógł postanowienia swego przywieść do skutku, przecież po długim błakaniu się po ulicach, wytrwały chłopiec zadzwonił w końcu do domu wuja, lecz widok zbiedzonego wędrownika wydarł temu z piersi jedynie ostry wykrzyk: — Co to jest? Zkąd się tu wzięłeś w takim stanie? Chłopiec wstrzymując łzy, opowiedział, pragnienia i zamiary swoje; powiedział że uciekł z domu, aby je urzeczywistnić. W tej chwili przecież nie było można ani rozprawać z nim, ani go łajać. Wuj kazał dać mu copędzej ciepłe jedzenie, po-

tem położyć się w łóżko, gdzie dostawszy się, chłopiec, zasnął natychmiast i spał bez przebudzenia się dwadzieścia sześć godzin. Gdy się obudził, było znowu rano, chwila śniadania, które gdy zjadł, wuj go dopiero wziął na rozmowę, wyrzucając mu samowolność i zmartwienie, sprawione matce. Zamówiono mu miejsce w dyliżansie, jadącym do Chambéry, który też zawiózł go tam szczęśliwie, a matka, poprzednio już uwiadomiona listownie przez brata, co się dzieje ze zbiegiem, przyjęła syna, nie marnotrawnego przecież, łzami. Życie nie jest łatwe dla człowieka, który o własnych siłach przebijać się przez nie musi, musi sam sobie być i stanowisko między ludźmi wyrobić, i ta biedna matka, wdowa, powiedziawszy to wszystko wyrostkowi, a będąc bardzo religijną, dała mu *Nasładowanie Jezusa Chrystusa*, aby uczył się z tej książki cierpliwości i poddania woli Bożej.

Chłopiec zapisał niedługo wszystkie marginesy nutami układanych melodij i matka widząc, że jest to już niewątpliwe powołanie i talent, zgodziła się z losem, który dał to jej dziecku. — Jedź do Paryża — rzekła mu — siostra starsza, która tam była, miała czuwać nad bratem choć trochę, a resztę biedna matka powierzała łasce Boskiej.

— Oddaję cię Bogu — rzekła przy rozstaniu i Bóg był, jak już wiemy, stróżem dobrym tego skarbu wdowy. Chłopiec wszedł do konserwatorium, ale mały zapasik pieniędzy wyczerpywał się, a tu żyć trzeba było. Wielkie postępy, jakie czynił, zalecały go ludziom, i gdy wkrótce otworzyło się miejsce cymbalisty przy orkiestrze Teatru Lirycznego, on zgłosił się na nie, drżąc cały i — otrzymał! Pensya była sześćdziesiąt pięć franków miesięcznie, co wydawało mu się fortuną, bo dawało czterdzieści soldów dziennie, za które mógł wyżyć — jak żyją wróble: na dachu, okruszynami chleba i wodą, która jest wszędzie. Massenet pełnił ten korzystny urząd przez lat sześć, lecz nie utracił go tylko dzięki dobroci ludzkiej, bo począł być wkrótce bardzo złym: nieporadnym cymbalistą. Niezmiernie roztargniony, nigdy na czas w cymbałki swe nie uderzył i pokazało się, że zapisywał znowu całą skórę bębena nutami; dyrektor orkiestry miał też niejednokrotnie chęć usunięcia go z miejsca, ale zawsze wstrzymywał się, ujęty dobrym układem i wielką muzyczną inteligencją młodzieńca, który tymczasem odniósł najpierw pierwszą nagrodę na fortepian, wkrótce potem pierwszą nagrodę z fugi. W tych to godzinach spędzonych w orkiestrze Teatru Lirycznego, nabrał Massenet zdolności komponowania na pamięć, bez pomocy fortepianu. Wśród szumu i hałasu teatralnego, wśród śpiewu i muzyki instrumentów innych, on w chwilach wolnych komponował, mając bębenek swój w miejsce polinowanego papieru. W dwudziestym pierwszym roku życia, kantata jego *Rizcio* zyskała mu pięcioletnie stypendyum rzymskie, przynoszące 125 franków miesięcznie.

Dwie wdowy, opera czeskiego kompozytora, Fryderyka Smetany, wystawiona w Hamburgu, była przyjęta bardzo dobrze.

Sergiusz Panin, dramat przerobiony z francuzkiej powieści, koronowanej w tym roku przez Akademią Paryżką, a której tytułowy bohater ma być polskim (?) zubożałym księciem, zabitym przez matkę żony wystrzałem z pistoletu, w chwili gdy ma być wziętym do więzienia przez policję, jako oszust, lecz tchórz nie jest zdolny uratować się sam od hańby przez śmierć, która mu już, jako jedyna droga ratunku pozostaje — dramat ten nie wszędzie zyskał sobie tak pochlebne, jak we Francji zdanie krytyki. Krytyk angielski w *Ateneum* bardzo poważnem w kierunku krytycznym piśmie, nazywa rzecz „straszłą, jak bajka o duchach i wstrętą historią“ (ghastly and repulsive story), którą jednak publiczność francuzka „przyjęła oklaskami“. Gdy pomyślimy, że sztuka nie jest nic odmienioną, tak w literackim, jak moralnym swym

duchu od powieści, która przecież dostała pierwszą nagrodę Akademii, udzielaną za utwory wyższe, tak przez talent, jak kierunek moralny, musimy zastanowić się koniecznie, czem jest dziś literatura francuzka?

Tworzy w niej szkołę *Nana* — dość już powiedzieć, a jak widzimy, może się ona obywać w utworach swoich bez elementarnych wiadomości, przedmiotu traktowanego, kiedy dzieło koronowane popelnia taki błąd etnograficzny, jaki tu zaszedł przy nazwisku bohatera. Geografia, etnografia, to nauki zbytteczne dla tej literatury, wtedy nawet, gdy dla upiększenia fikcyj swoich, sięga poza granice kraju. Sądy francuzkie obłożyły świeżo niesłychaną w tym kierunku karą 60,000 franków szkaradną książkę o poprzednim papieżu, Piusie IX. Można by naznaczać karę oburzenia się naszej opinii publicznej za niejedną rzecz z francuzkiego przekładaną.

Piramida w Meidum miejscowości położonej na pograniczu Libijskiej pustyni, otwartą została dnia 15 Grudnia ubiegłego roku, przez uczonego francuzkiego Maspéro, zajmującego po Beju Mariette miejsce dyrektora Egipskiego Muzeum w Kairze. Wspomniana piramida odznaczała się między innymi, wznoszącymi się wzdłuż Pustyni Libijskiej, szczególnością kształtu, rysującego się ostro na wiecznie pogodnym błękitie nieba afrykańskiego. Według podań arabskich, oraz wniosków uczonego świata, otaczała ją najuroczystsza tajemnica; nikt jednak nie mógł odkryć wejścia do niej. Ibrahim-Basza, bombardował ją niedługo, jak i inne, w nadziei odkrycia w jej wnętrzu skarbów, ale nie otworzyła mu kamiennego łona. Maspéro, kazał rozkopać od strony północnej pagórek, który u podstawy kamiennego olbrzyma, zdawał się być utworzonym przez czas i działanie wiatru, znajdującego niespodziewany opór i zmuszonego składać tu ziemię, przez się niesioną. Przecież po trzydziestu dniach pracy fellahów pagórek okazał się sztucznym, gdyż u szczytu jego odkryto wejście do piramidy, dla której nie był on podstawą, ale pierwszym piętrem, które tylko murem obwarowywał. Przez wejście zupełnie wolne wkroczone wewnątrz i odkryto wspaniały kurrytarz który zupełnie tak, jak w wielkiej piramidzie Gizeh, wiodł 40 metrów w głąb, lecz tam nagle mur go zamyka; co się poza nim się znajduje, dowiemy się wkrótce, tymczasem zaś Maspéro odkrył w kurrytarzu dwa napisy w stylu 15 dynastji (pismem hieratycznym) będące nazwiskami dwóch zwiedzających piramidę pisarzy urzędowych. Uчені sądzą, że otworzenie wnętrza piramidy odkryje światu wiele przedwiekowych tajemnic starego Egiptu.

Kopuła Meczetu z kościoła św. Zofii w Konstantynopolu, grozi upadkiem. Od trzech miesięcy dostrzeżono niebezpiecznie zrywanie się murów, że jednak rząd turecki nie czyni nic, aby sławny ten zabytek starożytnej architektury od upadku ubronić, zwali się wkrótce w gruzy, jeżeli inna jaka ręka nie pośpieszy tu z pomocą.

Małżeństwa za pośrednictwem ogłoszeń w dziennikach rozpowszechniły się bardzo między Niemcami. W Wiedniu znaczna część małżeństw zawiera się w ten wygodny sposób, officerowie armii uciekali się też do niego, lecz minister wojny wydał świeżo rozporządzenie zabraniające go pod karą dymissyi, na zasadzie, że: „nie zgadza się z godnością officera tak się żenić“. Może przecież nie zgadza się to również z godnością ludzką „tak się żenić“.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się 3-ci arkusz powieści pod tyt.: **Stoczona walka.**

**TPEŚĆ.** Porankiem, z Wiktora Hugo, (poezya), przez M. I. — Na Bialskim Zamku, powieść historyczna, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. Gniazdo hetmańskie, (dalszy ciąg), studjum, przez Maryana Dubieckiego. — Przegląd piśmienniczy, przez Wiktora Czajewskiego. — Nowiny paryżkie, (dokończenie). — Kronika działalności kobiecej. — Drobne listki.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberga.

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 19 Января 1882 года.